



ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI

UWIKŁANIE

To jest darmowy fragment powieści.
Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca

ROZDZIAŁ PIERWSZY

NIEDZIELA, 5 CZERWCA 2005

Wielki sukces reaktywowanego Jarocina, dziesięć tysięcy ludzi słuchało Dżemu, Armii i TSA. Pokolenie JP2 uczestniczyło w corocznym spotkaniu modlitewnym nad Lednicą. Zbigniew Religa ogłosił, że będzie kandydował na prezydenta i że chce być „kandydatem zgody narodowej”. Na jubileuszowym dziesiątym pikniku lotniczym w Góraszce pojawiły się dwa myśliwce F-16, wzbudzając entuzjazm zgromadzonych. W Baku polska reprezentacja rozgromiła w kiepskim stylu Azerbejdżan 3:0, a trener Azerów pobił sędziego. W Warszawie policjanci wręczali kierowcom makabryczne zdjęcia ofiar wypadków ku przestrodze, na Mokotowie zapalił się autobus linii 122, a na Kinowej wywróciła się karetka wioząca wątrobę do przeszczepu. Kierowca, pielęgniarka i lekarz trafili z potłuczeniami do szpitala, wątroba ocalała i tego samego dnia została przeszczepiona pacjentowi kliniki na Banacha. Maksymalna temperatura w stolicy 20 stopni, przelotne opady.

Pozwólcie, że opowiem wam bajkę. Dawno, dawno temu w niewielkim prowincjonalnym mieście żył sobie cieśla. Ludzie w miasteczku byli biedni, nie stać ich było na nowe stoły i krzesła, więc i cieśla był ubogi. Z trudem wiązał koniec z końcem, a im był starszy, tym mniej wierzył, że los może się odmienić, chociaż pragnął tego jak nikt inny na świecie, miał bowiem piękną córkę i chciał, aby w życiu wiodło jej się lepiej niż jemu. Pewnego letniego dnia do domu stolarza zawitał możny pan. „Cieślo – powiedział – przyjeżdża do mnie mój z dawna niewidziany brat. Pragnę podarować mu olśniewający prezent, a ponieważ przybywa on z kraju obfitującego w złoto, srebro i drogie kamienie, postanowiłem, że będzie to nadzwyczajnej piękności drewniana szkatuła. Jeśli uda ci się zrobić ją do niedzieli po najbliższej pełni, nigdy już nie będziesz narzekał na biedę”. Cieśla oczywiście się zgodził i natychmiast przystąpił do pracy. Była to robota wyjątkowo żmudna i trudna, chciał połączyć wiele gatunków drewna i ozdobić szkatułę miniaturowymi rzeźbami baśniowych stworów. Mało jadł, nie spał prawie wcale, tylko pracował. Tymczasem wieść o wizycie możnego pana i niecodziennym zleceniu szybko rozniosła się po miasteczku. Jego mieszkańcy bardzo lubili skromnego cieślę, codziennie ktoś przychodził z dobrym słowem i próbował pomóc mu w snycerce. Piekarz, kupiec, rybak, nawet szynkarz – każdy z nich łapał za dłuta, młoteczki i pilniki, chcąc, aby cieśla skończył pracę w terminie. Niestety, żaden z nich nie potrafił wykonać jego roboty i córka cieśli ze smutkiem patrzyła, jak ojciec, zamiast rzeźbić w skupieniu szkatułę, poprawia to, co zepsuli jego przyjaciele. Któregoś ranka, kiedy do wykonania pracy zostały już tylko cztery dni, a zrozpaczony rzemieślnik rwał sobie włosy z głowy, jego córka stanęła przed drzwiami chaty i przepędzała każdego, kto przychodził z pomocą. Całe miasteczko obraziło się na nich, nikt już nigdy o cieśli nie mówił inaczej, jak o gburze

i niewdzięczniku, a o jego córce jak o niewychowanej starej pannie. Chciałbym wam powiedzieć, że cieśla co prawda stracił przyjaciół, ale za to oczarował możnego pana swoją misterną robotą, lecz nie byłaby to prawda. Bo kiedy w niedzielę po pełni przybył do jego domu możny pan, zaraz odjechał wściekły i z pustymi rękami. Dopiero wiele dni później cieśla ukończył szkatułę i podarował ją swojej córce.

Cezary Rudzki skończył opowiadać, odchrząknął i nalał sobie z termosu kawy do kubka. Trójka jego pacjentów, dwie kobiety i mężczyzna, siedziała po drugiej stronie stołu, brakowało tylko pana Henryka.

– Jaki z tego płynie morał? – zapytał mężczyzna siedzący po lewej stronie, Euzebiusz Kaim.

– Taki, jaki sami w nim odnajdziecie – odpowiedział Rudzki. – Ja wiem, co chciałem powiedzieć, ale wy wiecie lepiej ode mnie, co chcecie zrozumieć i jaki sens jest wam teraz potrzebny. Bajek się nie komentuje.

Kaim zamilkł, Rudzki też nic nie mówił, gładząc siwą brodę, która, zdaniem niektórych, upodobniała go do Hemingwaya. Zastanawiał się, czy powinien jakoś się odnieść do zdarzeń poprzedniego dnia. Zgodnie z zasadami, nie powinien. Ale mimo to...

– Korzystając z tego, że nie ma pana Henryka – powiedział – chciałbym przypomnieć wszystkim, że nie tylko bajek nie komentujemy. Nie komentujemy także przebiegu terapii. To jedna z podstawowych zasad. Nawet jeśli jakaś sesja była tak intensywna jak wczoraj. Tym bardziej powinniśmy milczeć.

– Dlaczego? – zapytał Euzebiusz Kaim, nie podnosząc głowy znad talerza.

– Ponieważ wówczas zakrywamy słowami i próbami interpretacji to, co odkryliśmy. Tymczasem prawda musi zacząć działać. Znaleźć drogę do naszych dusz. Byłoby nieuczciwe, wobec nas wszystkich, zabić tę prawdę przez akademickie dyskusje. Proszę mi wierzyć, że tak jest lepiej.

Dalej jedli w milczeniu. Czerwcowe słońce wpadało przez wąskie, przypominające otwory strzelnicze okna i malowało ciemną salę w świetliste pasy. Pomieszczenie było bardzo skromne. Długi drewniany stół, nienakryty obrusem, kilka krzeseł, krucyfiks nad drzwiami. Szafka, elektryczny czajnik, mikroskopijna lodówka. Nic więcej. Kiedy Rudzki odkrył to miejsce, samotnie w samym centrum miasta, był zachwycony. Sądził, że kościelne pomieszczenia bardziej będą sprzyjały terapii niż wynajmowane do tej pory gospodarstwa agroturystyczne. Miał rację. Mimo że w budynku mieścił się kościół, szkoła, przychodnia lekarska i kilka prywatnych firm, a obok przebiegała Trasa Łazienkowska, czuło się tu wielki spokój. A właśnie tego najbardziej potrzebowali jego pacjenci.

Spokój miał swoją cenę. Nie było tu zaplecza kuchennego, sam musiał kupić lodówkę, czajnik, termos i komplet sztućców. Obiady zamawiał na mieście. Mieszkali w jednoosobowych celach, poza tym mieli do dyspozycji refektarzyk, w którym teraz siedzieli, i niedużą salkę, gdzie odbywali sesje. Salka z krzyżowym sklepieniem, wspartym na trzech grubych kolumnach. Nie była to krypta Leonarda, ale w porównaniu z pokoikiem, gdzie zwykle przyjmował pacjentów – prawie.

Teraz jednak zastanawiał się, czy nie wybrał miejsca zbyt mrocznego, zbyt zamkniętego. Miał wrażenie, że uwalniane w czasie sesji emocje zostawały pomiędzy murami, odbijały się od nich jak kauczukowa piłka i trafiały rykoszetem każdego, kto miał pecha tam się pojawić. Był ledwo żywy po wczorajszych wydarzeniach i cieszył się, że wkrótce to się skończy. Chciał stąd wyjść jak najszybciej.

Wypił łyk kawy.

Hanna Kwiatkowska, siedząca naprzeciwko Rudzkiego trzydziestopięciolatka, obracała w palcach łyżeczkę, nie spuszczając z niego wzroku.

– Tak? – zapytał.

– Martwię się – odparła drewnianym głosem. – Już kwadrans po dziewiątej, a pana Henryka nie ma. Być może powinien pan pójść i sprawdzić, czy wszystko w porządku, panie doktorze.

Wstał.

– Sprawdzę – powiedział. – Myślę, że pan Henryk odsypia po prostu wczorajsze emocje.

Wąskim korytarzykiem (wszystko w tym budynku było wąskie) doszedł do pokoju Henryka. Zastukał. Nic. Zastukał jeszcze raz, bardziej zdecydowanie.

– Panie Henryku, pobudka! – krzyknął przez drzwi.

Odczekał jeszcze sekundę, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Pusto. Łóżko zasłane, brak rzeczy osobistych. Rudzki wrócił do refektarza. Trzy głowy zwróciły się jednocześnie w jego kierunku, jakby wyrastały z jednego tułowia. Przypominał sobie smoki z ilustracji w książkach dla dzieci.

– Pan Henryk nas opuścił. Proszę, żebyście nie brali tego do siebie. Nie pierwszy i nie ostatni raz pacjent rezygnuje z terapii dość gwałtownie. Zwłaszcza po tak intensywnej sesji jak wczoraj. Mam nadzieję, że to, czego doświadczył, zadziała i będzie mu lepiej.

Kwiatkowska nawet nie drgnęła. Kaim wzruszył ramionami. Barbara Jarczyk, ostatnia z trójki, do niedawna czwórki, jego pacjentów, spojrzała na Rudzkiego i zapytała:

– Czy to koniec? Czy możemy w takim razie iść do domu? Terapeuta pokręcił głową.

– Proszę, żebyście poszli na pół godziny do swoich pokoi, odpoczęli, uspokoiли się. Punkt dziesiąty spotykamy się w salce.

Cała trójka, Euzebiusz, Hanna i Barbara, pokiwali głowami i wyszli. Rudzki przeszedł wokół stołu, sprawdził, czy w termosie jest jeszcze kawa, i nalał sobie pełny kubek. Zaklął, bo zapomniał zostawić miejsce na mleko. Teraz miał do wyboru: wylać albo upić. Nie cierpiał smaku czarnej kawy. Odał trochę do kosza na śmieci. Dodał mleka i stanął przy oknie. Patrzył na samochody przejeżdżające ulicą i na stadion po drugiej stronie.

Jak te patałachy mogły znowu przegrać ligę, pomyślał. Nie będą nawet wicemistrzami, na nic się zdało upokorzenie Wisły i wygrana 5:1 przed dwoma tygodniami. Ale może przynajmniej uda im się zdobyć puchar, jutro pierwszy półfinałowy mecz z Groclinem. Z Groclinem, z którym przez ostatnie cztery lata Legia ani razu nie wygrała. Znowu jakaś cholerna klątwa.

Zaśmiał się cicho. Niewiarygodne, jak działa ludzki mózg, skoro potrafi teraz roztrząsać sytuację ligową. Spojrzał na zegarek. Jeszcze pół godziny.

Tuż przed dziesiątą opuścił refektarz i poszedł do łazienki umyć zęby. Po drodze minął Barbarę Jarczyk. Spojrzała pytająco, widząc, że idzie w przeciwnym kierunku niż salka.

– Zaraz będę – powiedział.

Nie zdążył nałożyć pasty, kiedy usłyszał krzyk.

2

Teodora Szackiego obudziło to, co zwykle budziło go w niedzielę. Nie, nie był to kac, pragnienie, potrzeba wysikania się, jasne słońce, które przenika przez słomiane rolety, ani deszcz bębniący o daszek nad balkonem. Była to Helcia, jego siedmioletnia córka, która wskoczyła na Szackiego z takim impetem, że ikeowska kanapa zatrzeszczała.

Otworzył jedno oko, do którego wpadł kasztanowy kędzior.

– Widzisz? Babcia zrobiła mi loki.

– Widzę – powiedział i wyciągnął sobie włosy z oka. –

Szkoda, że cię nimi nie związała.

Pocałował córkę w czoło, zrzucił ją z siebie, wstał i poszedł do toalety. Był w drzwiach pokoju, kiedy po drugiej stronie łóżka coś się poruszyło.

– Pstryknij mi wodę na kawę. – Usłyszał mruknięcie spod kołdry.

Koncert życzeń, jak w każdy weekend. Od razu poczuł irytację. Spał dziesięć godzin, a był niewiarygodnie zmęczony. Nie pamiętał, kiedy to się zaczęło. Mógł leżeć w łóżku pół doby, a i tak wstawał z niesmakiem w ustach, piaskiem w oczach i bólem tłącym się między skrońmi. Bez sensu.

– Dlaczego nie powiesz zwyczajnie, żebyś ci zrobił kawy? – powiedział z pretensją do żony.

– Bo sobie sama zrobię – ledwo mógł rozróżnić słowa – nie chcę ci zawracać głowy.

Szacki wzniosł oczy do góry w teatralnym geście. Helcia się roześmiała.

– Ale przecież zawsze tak mówisz, a ja ci i tak zawsze robię kawę!

– Nie musisz. Ja cię proszę tylko o wodę.

Wysikał się i zaparzył żonie kawę, próbując nie patrzeć na górę brudnych garów w zlewie. Kwadrans zmywania, jeśli chce zrobić obiecane śniadanie. Boże, jak bardzo był zmęczony. Zamiast spać do południa, a potem oglądać telewizję, jak wszyscy inni faceci w tym patriarchalnym kraju, on robi z siebie supermęża i superojca.

Weronika wygrzebała się z łóżka i stała w przedpokoju, ogłędając się krytycznie w lustrze. Sam spojrzał na nią badawczo. Seksowna była zawsze, ale modelki nie przypominała nigdy. Mimo to trudno znaleźć wytłumaczenie dla drugiego podbródka i oponki. No i ten tiszert. Nie wymagał, żeby codziennie spała w tiulach i koronkach, ale do jasnej cholery, dlaczego wciąż nosi ten tiszert z wyblakłym napisem „Disco fun”, pochodzący zapewne jeszcze z czasów paczek z darami! Podał jej kubek. Spojrzała na niego podpuchniętymi oczami i podrapała się pod piersią. Podziękowała, cmoknęła go odruchowo w nos i poszła pod prysznic.

Szacki westchnął, przejechał dłonią po białych jak mleko włosach i poszedł do kuchni.

Tak naprawdę, to o co mi chodzi?, pomyślał, starając się wygrzebać myjkę spod brudnych talerzy. Zrobienie kawy to chwila,

zmywanie druga chwila, śniadanie trzecia. Głupie pół godziny i wszyscy będą szczęśliwi. Poczuł się jeszcze bardziej zmęczony na myśl o całym tym czasie, który przelatywał mu przez palce. Stanie w korkach, tysiące pustych godzin w sądzie, bezsensowne dziury w pracy, kiedy mógł najwyżej układać pasjansa, czekanie na coś, czekanie na kogoś, czekanie na czekanie. Czekanie jako wymówka, żeby absolutnie nic nie robić. Czekanie jako najbardziej męcząca profesja świata. Górnik przodowy jest bardziej wypoczęty ode mnie, użalał się w myślach, próbując ustawić na suszarce szklankę, na którą naprawdę nie było już miejsca. Dlaczego wcześniej nie zdjął suchych naczyń? Szlag by to trafił. Czy dla każdego życie jest tak męczące?

Zadzwoił telefon. Hela odebrała. Słuchał rozmowy, idąc do pokoju i wycierając ręce w ścierkę.

– Tata jest, ale nie może podejść, bo zmywa i robi nam jajecznicę...

Wyjął córce słuchawkę z ręki.

– Szacki. Słucham?

– Dzień dobry, panie prokuratorze. Nie chcę pana martwić, ale nie przyrządzi pan dziś nikomu jajecznicy. Chyba że na kolację. – Usłyszał po drugiej stronie znajomy głos Olega Kuzniecowa z komendy na Wilczej, mówiącego ze wschodnim zaśpiewem.

– Oleg, błagam, nie rób mi tego.

– To nie ja, panie prokuratorze, to miasto pana wzywa.

Wielki, stary citroën płynął pod pylonem mostu Świętokrzyskiego z gracją, której pozazdrościłoby mu wiele samochodów, pojawiających się na tymże moście jako nachalny product placement w polskich komediach romantycznych. Może i ten Piskorski to przekrętas, pomyślał Szacki, ale dwa mosty stoją.

Za Kaczora to nie do pomyślenia, żeby ktokolwiek odważył się podjąć decyzję o takiej inwestycji. Zwłaszcza przed wyborami. Weronika była prawnikiem w Urzędzie Miasta i nieraz opowiadała, jak się teraz podejmuje decyzje. Otóż na wszelki wypadek wcale się nie podejmuje.

Zjechał na Powiśle i, jak zwykle, odetchnął z ulgą. Był u siebie. Dziesięć lat mieszkał na Pradze i ciągle nie mógł się przyzwyczaić. Starał się, ale nowa mała ojczyzna miała dla niego tylko jedną zaletę – leżała blisko Warszawy. Minął teatr Ateneum, gdzie kiedyś zakochał się w *Antygonie w Nowym Jorku*; szpital, w którym się urodził; ośrodek sportowy, gdzie uczył się grać w tenisa; park rozciągający się pod budynkami parlamentu, gdzie szalał z bratem na sankach; basen, na którym nauczył się pływać i dostał grzybicy. Był w Śródmieściu. W centrum swojego miasta, centrum swojego kraju, centrum swojego życia. Najbrzydszym wyobraźalnym *axis mundi*.

Przejechał pod rozsypującym się wiaduktem, skręcił w Łazienkowską i zaparkował pod domem kultury, pomyślałszy ciepło o znajdującym się dwieście metrów dalej stadionie, na którym stołeczni wojownicy dopiero co roznieśli w pył Białą Gwiazdę. Nie interesował się sportem, ale Weronika była tak zapaloną kibicką, że chcąc nie chcąc, potrafił wyrecytować z pamięci wyniki wszystkich meczów Legii z ostatnich dwóch lat. Jutro jego żona na pewno wybierze się w trójkolorowym szaliku na mecz. Ćwierćfinał pucharu.

Zamknął samochód i spojrzał na budynek po drugiej stronie ulicy, jedną z najbardziej kuriozalnych budowli stolicy, przy której Pałac Kultury i osiedle za Żelazną Bramą jawiły się jako przykład architektury mało inwazyjnej, wyciszonej. Kiedyś był tutaj kościół parafialny Matki Boskiej Częstochowskiej, zniszczony w czasie wojny, jedno z miejsc powstańczego oporu. Przez dekady nieodbudowany, straszył mrocznymi ruinami, kikutami kolumn, otwartymi piwnicami. Kiedy w końcu go wskrzeszono, stał się wizytówką chaotyczności miasta. Każdy przejeżdżający

Trasą Łazienkowską widział tę ceglana chimere, skrzyżowanie kościoła, klasztoru, fortecy i pałacu Gargamela. W tym miejscu kiedyś pojawił się Zły. A teraz właśnie znaleziono trupa.

Szacki poprawił węzeł krawata i przeszedł na drugą stronę ulicy. Zaczęło kropić. Przy bramie stał radiowóz i nieoznakowany policyjny samochód. Wokół trochę gapiów, którzy wyszli z porannej mszy. Oleg Kuzniecowa rozmawiał z technikiem z Laboratorium Kryminalistycznego KSP. Przerwał tę rozmowę i podszedł do Szackiego. Uścisnęli sobie dłonie.

– Wybierasz się potem na koktajl na Rozbrat? – zakpił policjant, poprawiając mu wyłogi marynarki.

– Pogłoski o upolitycznieniu prokuratury są równie przesadzone jak plotki o dodatkowych źródłach utrzymania warszawskich policjantów – odciął się Szacki. Nie lubił, kiedy wyśmiewano się z jego stroju. Bez względu na pogodę miał na sobie garnitur i krawat, bo był prokuratorem, a nie dostawcą delikatesów do warzywniaka.

– Co mamy? – zapytał, wyciągając papierosa. Pierwszego z trzech, na które pozwalał sobie codziennie.

– Jednego trupa, czworo podejrzanych.

– Chryste, znowu jakaś alkoholowa jatka. Nie sądziłem, że w tym cholernym mieście nawet w kościele można trafić na melinę. I na dodatek porznęli się w niedzielę, za grosz szacunku. – Szacki był autentycznie zniesmaczony. I ciągle wściekły, że jego rodzinna niedziela także padła ofiarą zabójstwa.

– Nie do końca masz rację, Teo – mruknął Kuzniecowa, okręcając się we wszystkie strony w poszukiwaniu takiej pozycji, aby wiatr nie zdmuchnął płomienia zapalniczki. – W tym budynku, poza kościołem, jest kupa różnych firm. Podnajęto pomieszczenia szkole, ośrodkowi zdrowia, różnym organizacjom katolickim, jest też coś w rodzaju domu rekolekcyjnego. Różne grupy przyjeżdżają tu na weekend modlić się, rozmawiać, słuchać kazań i tak dalej. Akurat teraz wynajął pokoje na trzy dni terapeuta z czwórką pacjentów. Pracowali

w piątek, pracowali w sobotę, po kolacji się rozstali. Dziś rano na śniadanie przyszedł lekarz i troje pacjentów. Czwartego znaleźli chwilę później. Zobaczysz, w jakim stanie. Te pomieszczenia są w oddzielnym skrzydle, nie da się tam dojść, nie przechodząc koło portierni. W oknach kraty. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Nikt się też jak na razie nie przyznał. Jeden trup, czworo podejrzanych, trzeźwych i dobrze sytuowanych. Co ty na to?

Szacki zgaślił papierosa i odszedł kilka kroków, żeby wrzucić go do kosza na śmieci. Kuzniecowa pstryknął swoim na ulicę, prosto pod koła autobusu linii 171.

– Nie wierzę w takie historie, Oleg. Zaraz się okaże, że portier przespał pół nocy, że jakiś żulik wpadł ukraść coś na wino, po drodze zderzył się z biednym nerwicowcem, przestraszył bardziej od niego i wsadził mu kosę. Pochwali się któremuś z waszych kapusiów i będzie po sprawie.

Kuzniecowa wzruszył ramionami.

Szacki wierzył w to, co powiedział Olegowi, ale czuł narastającą ciekawość, kiedy weszli przez drzwi i wąskim korytarzem zmierzali do salki, gdzie leżały zwłoki. Odetchnął głęboko, żeby zapanować nad podnieceniem i jednocześnie strachem przed kontaktem z trupem. Kiedy ujrzał ciało, na jego twarzy malowała się już zawodowa obojętność. Teodor Szacki schował się za maską urzędnika, stojącego na straży praworządności w Rzeczypospolitej.

Mężczyzna w popielatym garniturze, około pięćdziesiątki, trochę przy kości, mocno szpakowaty, ale bez łysiny, leżał na wznak na pokrytej zielonkawym linoleum podłodze, zupełnie niepasującej do niskiego krzyżowego sklepienia. Obok niego stała szara, staromodna walizka, zamykana nie na suwak, lecz dwa

metalowe zamki, dodatkowo zabezpieczone krótkimi pasami zapinanymi na klamerki.

Krwi było niewiele, prawie w ogóle, ale Szacki wcale nie poczuł się dzięki temu lepiej. Sporo go kosztowało, aby pewnym krokiem podejść do ofiary i ukucnąć obok jej głowy. Odbiło mu się żółcią. Przełknął ślinę.

– Odciski? – spytał obojętnie.

– Na narzędziu zbrodni żadnych, panie prokuratorze – odparł szef techników, kucając po drugiej stronie ciała. – Zebraliśmy w innych miejscach, tak samo jak mikroślady. Mamy wziąć próbki zapachowe?

Szacki pokręcił przecząco głową. Jeśli denat przez ostatnie dwa dni przebywał z osobami, z których jedna go zabiła, to zapach nic nie pomoże. Tyle razy obalali mu tę poszlakę w sądzie, że szkoda było trudzić techników na darmo.

– Co to w ogóle jest? – zwrócił się do Kuzniecowa, wskazując na zakończony czarną plastikową rączką szpikulec, wystający z prawego oka ofiary. Ulżyło mu, że dzięki pytaniu może odwrócić wzrok w stronę policjanta, zamiast patrzeć na bordowoszarą masę, która musiała być kiedyś okiem mężczyzny, a teraz zakrzepła na policzku w kształcie uparcie przywodzącym Szackiemu na myśl bolid Formuły 1.

– Rożen – odpowiedział Oleg. – Albo coś podobnego. W jadalni jest cały komplet w tym samym stylu. Noże, tasak, sztucce.

Szacki pokiwał głową. Narzędzie zbrodni pochodzi stąd. Jaka jest wobec tego szansa, że zabójca przyszedł z zewnątrz? Praktycznie żadna, teoretycznie sąd może uznać, że był tu tłum jak na Marszałkowskiej, którego nikt nie zauważył. A wszelkie wątpliwości... i tak dalej.

Zastanawiał się, jak rozegrać sprawę ze świadkami, a tak naprawdę podejrzanymi, kiedy do sali zajrzał jeden z mundurowych.

– Panie komisarzu, przyjechała żona. Zechce pan?

Prokurator wyszedł z Olegiem na dziedziniec.

– Jak on się nazywał? – szepnął do Kuzniecowa.

– Henryk Telak. Żona Jadwiga.

Przy radiowozie stała kobieta z gatunku tych, o których mężczyźni mówią, że są przystojne. Dość wysoka, szczupła, w okularach, z lekko siwiejącymi ciemnymi włosami, o zdecydowanych rysach twarzy. Ubrana w jasnozieloną sukienkę i sandały. Kiedyś musiała być pięknoscią, teraz dumnie obnosiła przemijającą urodę.

Kuzniecowa podszedł do niej, uklonił się.

– Dzień dobry, nazywam się Oleg Kuzniecowa, jestem komisarzem policji. To prokurator Teodor Szacki, który będzie prowadził śledztwo. Proszę przyjąć nasze najgłębsze wyrazy współczucia. Obiecujemy, że zrobimy, co w naszej mocy, aby znaleźć i ukarać zabójcę pani męża.

Kobieta skinęła głową. Wyglądała na nieobecna, zapewne wzięła już coś na uspokojenie. Być może jeszcze nie była w pełni świadoma tego, co się zdarzyło. Szacki wiedział, że pierwszą reakcją na śmierć bliskiej osoby jest niewiara. Ból przychodzi później.

– Jak to się stało? – spytała.

– Napad rabunkowy. – Szacki kłamał tak gładko i z taką pewnością siebie, że nieraz radzono mu, aby zajął się adwokaturą. – Wszystko na razie wskazuje na to, że nocą włamywacz natknął się przypadkiem na pani męża, być może nawet pan Henryk próbował go zatrzymać. Złodziej go zabił.

– Jak? – spytała.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Pani mąż został uderzony w głowę ostrym narzędziem. – Szacki nie cierpiał kryminalistycznej nowomowy, ale ona najlepiej nadawała się do tego, żeby odrzec śmierć z dramaturgii. Brzmiało to łagodniej niż „ktoś wbił mu rożen w mózg przez oko”. – Umarł natychmiast. Lekarz twierdzi, że śmierć nastąpiła tak szybko, że nie zdążył nawet poczuć bólu.

– Przynajmniej tyle – powiedziała po chwili milczenia i po raz pierwszy podniosła głowę. – Czy mogę go zobaczyć? – spytała,

patrzając na Szackiego, któremu momentalnie stanęła przed oczami szara plama w kształcie wyścigówki.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Chciałabym się z nim pożegnać.

– Trwa zbieranie śladów – dodał Kuzniecowa. – Atmosfera nie jest zbyt intymna, poza tym, proszę mi wierzyć, to nieprzyjemny widok.

– Jak panowie chcą – zgodziła się z rezygnacją, a Szacki powstrzymał westchnienie ulgi. – Czy mogę już iść?

– Oczywiście. Proszę tylko zostawić namiary. Będę musiał jeszcze z panią porozmawiać.

Kobieta podyktowała Kuzniecowskiemu adres i telefon.

– A ciało? – zapytała.

– Niestety, musimy zrobić sekcję. Ale najpóźniej w piątek będzie je mógł odebrać zakład pogrzebowy.

– To dobrze. Może uda się urządzić pogrzeb w sobotę. Człowieka trzeba pochować przed niedzielą, inaczej tego samego roku umrze jeszcze ktoś z rodziny.

– To tylko przesąd – odpowiedział Szacki. Wyjął z kieszeni dwie wizytówki i wręczył wdowie. – Na jednej są telefony do mnie, na drugiej do ośrodka, który zajmuje się pomocą rodzinom ofiar przestępstw. Radzę, żeby pani tam zadzwoniła. To może pomóc.

– Zajmują się wskrzeszaniem mężów?

Szacki nie chciał, aby rozmowa potoczyła się w tym kierunku. Surrealistyczne uwagi zazwyczaj stanowiły preludium hysterii.

– Raczej wskrzeszaniem żywych. Przywracaniem ich do życia, do którego często nie chcą wrócić. Oczywiście zrobi pani, co uzna za stosowne. Ja tylko twierdzę, że to ludzie, którzy mogą pomóc.

Pokiwała głową i schowała obie wizytówki do torebki. Glińiarz i prokurator pożegnali się i wrócili do budynku.

Oleg spytał, czy chce przesłuchać teraz ludzi z terapii. Szacki wahał się, jak to rozegrać, i choć w pierwszym odruchu

postanowił porozmawiać z nimi jak najszybciej, nawet tutaj, to teraz uważał, że lepiej opóźnić to trochę, aby ich pomęczyć. Stara dobra metoda porucznika Colombo. Zastanawiał się, o czym myślał teraz w swoich, nomen omen, celach. Wszyscy pewnie obracali w pamięci każde słówko i gest z ostatnich dwóch dni, szukając wskazówki, kto z nich może być mordercą. Poza samym mordercą. On z kolei myślał, czy w ciągu ostatnich dwóch dni zdradził się słówkiem lub gestem. A to wszystko przy sensacyjnym założeniu, że naprawdę któreś z nich zabiło. Czy można wykluczyć, że zabójca przyszedł z zewnątrz? Nie można. Jak zwykle na tym etapie niczego nie można wykluczyć. Tak, to może być ciekawa sprawa, miła odmiana po tych wszystkich zwyczajnych miejskich zabójstwach. Smród, puste butelki, jucha na ścianach, wyglądająca trzydzieści lat starzej od swej metryki kobieta łkająca na podłodze, zdziwieni półprzytomni kumple, niemogący uwierzyć, że to któryś z nich w pijanym widzie zarznął przyjaciela. Ile razy to widział?

– Nie – odpowiedział. – Powiem ci, jak zrobimy. Przesłuchaj ich teraz, w końcu tak to zazwyczaj wygląda. Tylko zrób to ty, a nie jakiś posterunkowy, który jeszcze dwa tygodnie temu mieszkał z mamą i tatą na przedmieściach Siedlec. Spokojnie i pobieżnie, traktując każdego jak świadka. Kiedy ostatni raz Telaka widzieli, kiedy się poznali, co robili w nocy. Nie wypytuj o to, co ich łączy, o terapię, niech się poczują bezpiecznie, a ja będę miał powód, żeby ich jeszcze kilka razy wezwać.

– Masz pomysły – zachnął się Oleg. – Każesz mi się z nimi bawić, żeby ci przygotować grunt. Spisywać protokoły, pisać wyrażnie, dawać do przeczytania...

– Przygruchaj sobie jakąś posterunkową, niech ci pisze okrągłymi literkami. Spotkamy się rano na Wilczej, wymienimy kwitami, pogadamy, ustalimy, co dalej. Miałem co prawda iść na ogłoszenie wyroku w sprawie Pieszczocha, ale poproszę Ewę, żeby poszła za mnie.

– Stawiasz kawę.

– Litości. Jestem urzędnikiem państwowym, a nie policjantem z drogowki. Moja żona też jest państwowym urzędnikiem. Robimy sobie rozpuszczalną kawę w pracy, nie stawiamy jej nikomu.

Oleg wyciągnął papierosa, Szacki ledwo się powstrzymał, żeby nie zrobić tego samego. Nie chciał, żeby na resztę dnia został mu tylko jeden.

- Stawiasz kawę, nie ma gadania.
- Jesteś parszywym Ruskiem.
- Wiem, ciągle mi to mówią. W Gorączce o dziewiątej?
- Nienawidzę tej glińskiej speluny.
- W Bramie?

Szacki skinął głową. Oleg odprowadził go do samochodu.

– Boję się, że może być ciężko – powiedział policjant. – Jeśli zabójca nie popełnił żadnego błędu, a pozostali nic nie widzieli, to mogła.

Szacki nie mógł odmówić sobie uśmiechu.

- Zawsze popełniają błędy – stwierdził.

5

Nie pamiętał, kiedy tak go rozpieszczęła tatrzańska pogoda. Z wierchołka Kopy Kondrackiej miał doskonały widok na wszystkie strony, jedynie hen nad słowacką częścią Tatr Wysokich widać było małe chmurki. Odkąd wczesnym rankiem zaparkował w Kirach i po krótkim spacerku Kościeliską zaczął się wspinać na Czerwone Wierchy, cały czas towarzyszyło mu słońce. Od połowy drogi, kiedy ścieżka zaczęła się pięć coraz stromiej, niska kosodrzewina nie dawała szans na cień, a w pobliżu nie było żadnego strumienia, górską wędrowną zamieniła się w marsz po rozpalonej patelni. Przypomniały mu się opowieści o amerykańskich żołnierzach w Wietnamie, którym podobno w czasie dziennych patroli płyn mózgowy gotował się pod rozpalonymi

słońcem hełmami. Zawsze uważał to za bzdurę, a teraz czuł się podobnie, mimo że jego głowę ochraniał nie kask, lecz beżowy kapelusz, pamiątka przywieziona z australijskiej podróży.

Kiedy już blisko grani przed oczami zaczęły mu latać czarne plamki, a nogi zrobiły się miękkie, przeklął swoją głupotę siedemdziesięciolatka, który myśli, że wciąż może wszystko robić tak jak dawniej. Tak samo pić, tak samo się kochać, tak samo chodzić po górach.

Na grani padł bez sił na ziemię, pozwalając się chłodzić wiatrowi, i wsłuchiwał w rozszalały rytm serca. Trudno, pomyślał, lepiej zejść na Ciemniaku niż na Marszałkowskiej. Kiedy serce trochę się uspokoiło, pomyślał, że jednak lepiej umrzeć na Małołączniaku, bo to znacznie lepiej brzmi niż ten cholerny Ciemniak. Jeszcze by o nim po śmierci dowcipy opowiadali. Powłókł się więc na Małołączniak, wypił trochę kawy z termosu, próbując nie myśleć o swoim mięśniu numer jeden, i siłą rozpędu doszedł na Kopę. Dziwna rzecz, ale wyglądało na to, że słabe serce w połączeniu ze starczą głupotą i tym razem go nie zabije. Nalał sobie kolejny kubek kawy, wyjął kanapkę zawiniętą w folię aluminiową i patrzył na brzuchatych trzydziestolatków, którzy wchodzili na tę biedną Kopę z takim wysiłkiem, jakby to był siedmiotysięcznik. Miał ochotę im poradzić, żeby zabierali ze sobą tlen.

Jak można się tak zapuścić?, myślał, obserwując z pogardą ledwo człapiących ludzi. On w ich wieku potrafił przebiec rano trasę ze schroniska na Kondratowej na Kopę i z powrotem przez Piekło tylko po to, żeby się rozgrzać i zasłużyć na śniadanie. Tak, to były czasy. Wszystko było czytelne, wszystko miało sens, wszystko było łatwe.

Wyciągnął opalone i wciąż umięśnione, pokryte siwymi włosami łydki do słońca i włączył komórkę z zamiarem wysłania sms-a do żony, która czekała na niego w pensjonacie koło Strażyskiej. Ledwo telefon złapał zasięg, kiedy zadzwonił. Mężczyzna zaklął i odebrał.

- Tak?
- Dzień dobry, mówi Igor. Mam dla pana złą wiadomość.
- Tak?
- Henryk nie żyje.
- Jak to się stało?

– Obawiam się, że był przykry wypadek.

Nie zastanawiał się ani chwili, co odpowiedzieć.

– To rzeczywiście smutna wiadomość. Postaram się wrócić jutro, ale jak najszybciej trzeba zamówić nekrolog. Zrozumiałeś?

– Oczywiście.

Wyłączył telefon. Nie miał już ochoty na pisanie do żony. Dopił kawę, zarzucił plecak i ruszył w stronę przełęczy pod Kopą. Wypije jeszcze piwo na Kalatówkach i zastanowi się, jak jej powiedzieć, że muszą wracać do Warszawy. Prawie czterdzieści lat razem, a takie rozmowy ciągle go stresowały.

6

Prokurator Teodor Szacki uruchomił potężny, trzylitrowy silnik v6 citroëna z pewnym trudem – instalacja gazowa znów szwankowała – zaczekał, aż układ hydrauliczny podniesie jego smoka z ziemi, i ruszył w kierunku Wisłostrady z zamiarem przejechania przez most Łazienkowski na drugą stronę rzeki. W ostatniej chwili zmienił zdanie, skręcił w stronę Wilanowa i zatrzymał samochód na przystanku autobusowym koło Gagarina. Włączył światła awaryjne.

Dawno, dziesięć lat temu, czyli tak naprawdę przed wiekami, mieszkali tutaj z Weroniką, kiedy Helci nie było jeszcze na świecie. Kawalerka na drugim piętrze, oba okna wychodziły na Wisłostradę. Koszmar. W dzień jeden tir za drugim, po zmroku nocne autobusy i maluchy jadące sto dziesięć na godzinę. Nauczył się rozpoznawać marki samochodów po dźwięku silnika. Na meblach zbierała się warstwa tłustego czarnego kurzu, okno

stawało się brudne pół godziny po umyciu. Najgorzej było w lecie. Musieli otwierać okna, żeby się nie udusić, ale wtedy nie dało się ani rozmawiać, ani oglądać telewizji. Inna sprawa, że wtedy częściej się kochali, niż oglądali wiadomości. A teraz? Nie był pewien, czy wyrabiali średnią krajową, która kiedyś tak ich bawiła. Jak to? To naprawdę są ludzie, którzy robią to tylko raz na tydzień? Ha, ha, ha.

Szacki parsknął śmiechem i uchylił szybę. Rozpadało się na dobre, krople deszczu wpadały do wnętrza, zostawiając ciemne ślady na tapicerce. W ich oknach krzątała się drobna blondynka w bluzce na ramiączkach, włosy sięgały jej do ramion.

Ciekawe, jak by to było, pomyślał Szacki, gdybym teraz zaparkował na podwórku i wszedł do mieszkania na drugim piętrze, a tam czekałaby na mnie ta dziewczyna. Gdybym miał zupełnie inne życie, inne płyty z muzyką, inne książki na półkach, czułbym inny zapach leżącego obok ciała. Moglibyśmy pójść na spacer do Łazienek, opowiedziałbym jej, dlaczego musiałem być dziś w pracy, dajmy na to w pracowni architektonicznej, ona powiedziałaby, że jestem dzielny i że kupi mi loda koło teatru Na Wyspie. Wszystko byłoby inaczej.

Jakie to podłe, dumął Szacki, że mamy tylko jedno życie, a ono tak szybko nas nuży.

Jedno jest pewne, pomyślał, przekręcając kluczyk. Potrzebuję zmiany. Potrzebuję zmiany jak jasna cholera.

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca